

PRZYJACIEL

dzieci

Pod redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



570

Nasza praca

My, dziewczęta i chłopcy, my, dzieci miasta i wsi, synowie i córki robotników i chłopów — umiemy bawić się, ale potrafimy też pracować. Wiemy, że stale bawić się nie można, bo każda zabawa w końcu się znudzi, a praca, to najmilsza zabawa.

Nie możemy naturalnie tyle pracować i tak ciężko, jak nasi rodzice. Ale pomagać im w miarę sił — to największa przyjemność. Posprzątać mieszkanie, pomagać przy gotowaniu, przy szyciu i prasowaniu — to radość dla naszych dziewcząt. A chłopcy potrafią nie tylko biegać, hałasować i walczyć ze sobą — potrafią też przynieść węgiel, drzewa, nosić wodę, strugać śliczne rzeczy, przybić coś gwoździem, przerznąć piłką, wyręczyć ojca w lżejszej robocie. A to przecież jest praca.

Naukę naszą też można nazwać pracą,

jeśli zabieramy się do niej sumiennie i staramy się wykonać, jak najlepiej. A największe zadowolenie mamy wtedy, gdy dokonamy czegoś, co nam nie było ani łatwe ani zbyt miłe przy robocie. Bo wtedy i w nas samych dokonaliśmy pracy, która nazywa się zwyciężeniem własnego lenistwa i niechęci.

Mocni, mądrzy i dzielni stajemy się tylko przez pracę i tylko przez pracę stajemy się dorośli. A kiedy będziemy już w pełni sił, kiedy zmieni się dzisiejszy zły porządek na świecie — dla leniuchów i darmozjadów nie będzie miejsca.

Uczmy się więc pracować od małego, żeby na nas nie pracowali inni, żeby każdy robił to, co robić umie i co robić lubi. A przez pracę zapanuje między ludźmi sprawiedliwość i prawda, bo każdy będzie umiał cenić trud innego.

Młode życie

E. SZYMAŃSKI

Nas czeka życie w codziennym trudzie,
jak ojców naszych i braci.

Będą z nas dzielni, uczciwi ludzie —
równi, jednako bogaci.

Gdy wszystkie ręce do pracy staną
i nikt nie będzie się lenił,
ziemia nam będzie jasną polaną
wśród złotych słońca promieni.

Niech jak najprędzej przechodzą lata
w dzieciństwie ciepłej zorzy —
chcemy pod nową budowę świata
naszego trudu dołożyć.

My, dzieci biedy, dzieci ucisku,
niewychuchane w pałacach.
Świat, uniesiony w naszym ucisku,
nasza wybawi praca!



Mały tragarz

Mroźny, styczniowy wieczór.
Na dworcu ruch i gwar, jak zwykle o
tej porze. Nieduża poczekalnia zapelnio-

na podróżującymi: jedni wyjeżdżają, dru-
dzy przyjeżdżają.

Oto np. tam, na ławce pod ścianą,

oczekuje na pociąg rodzina robotnicza: ojciec, matka i dwoje dzieci. Wyjeżdżają na wieś szukać pracy, szukać środków do życia. Bo w mieście bezrobocie; niema dla robotników pracy; trzeba jej szukać po świecie.

Czy znajdą pracę? Czy zarobią na chleb dla siebie i dzieci?

Opodal nich siedzi jakaś paniusia z pieskiem. Ta o pracę nie martwi się, i tak nigdy nie pracuje. Wyjeżdża dla przyjemności, widać to odrazu. Nic ją to nie obchodzi, że inni nie mają co jeść. Ona ma wszystkiego wbród.

W drugim końcu poczekalni oczekuje na pociąg opasły przemysłowiec, kapitalista, poznać to można odrazu — z wyglądu. Wyjeżdża bawić się za pieniądze robotnicze.

Co kilkanaście minut przychodzi jakiś pociąg — to z Krakowa, to z Poznania, to ze Lwowa, to znowu z Wilna; co kilkanaście minut odchodzi pociąg — to do Lublina, to do Katowic, to znowu do Torunia.

**

Bolek stoi przed dworcem, stoi blisko od dwóch godzin. Nic jeszcze dziś nie zarobił. A tam w domu czeka matka i głodny mały braciszek...

— Może odnieść walizkę? — pyta śpieszącego przechodnia.

— Od tego jest tragarz, ty nie dasz rady...

— Dam radę, to przecież taka nieduża walizka...

— Zimno, idź lepiej do domu.

— Kiedy głodny jestem. Muszę odnieść walizki, by zarobić na życie, na węgiel...

— A ile ty masz lat?

— Dziesięć.

— Ojca masz?

— Nie! W domu mam matkę i małego braciszka.

— Niech pan pozwoli — odniosę walizkę..

**

Bolek stoi przed dworcem, choć mróz szczypie w ręce i w uszy. Chciałby wejść do poczekalni, by odpocząć, ogrzać się, lecz nie wolno.

Oto wczoraj wszedł tylko na chwilę, a wnet zjawił się policjant i wypędził go.

— Nie wolno tu włączyć się. Tu są starsi do odnoszenia bagaży.

Oczywiście, do pracy są starsi. I tak być powinno.

Ale czy pomyślał ten policjant o tem, że on tu głodny i zziębnięty, nie stoi dla przyjemności?

Ale czy pomyśleli ci, co takie zarządzenia wydają, o tem, by zaprowadzić na świecie taki ład i taki porządek, któryby pozwalał wszystkim jednakowo żyć i pracować? któryby wszystkich ludzi zrównał w prawach i obowiązkach?

B.



Przygody naszych przyjaciół

Gdy szli ulicą Bob i Hop, trzymając się za ręce, rzekł Bob: patrz, bracie, wkoło nas biedaków coraz więcej. Tu bezrobotny z głodu drży, tu drugi, a tu trzeci, tu znowu jakaś kobiecina prosi o chleb dla dzieci."

I poszli dalej. W oknach sklepów aż jarzy się od zbytku. Pełno wszędzie ciastek, wędlin, jadła i napitku. A w kawiarni za firanką przy dźwiękach muzyki siedzą panie i panowie, zapijając likier.



Poszli dalej, choć ich zimno ostro szczypie w uszy, i przez szyby widzą składy futer, kapeluszy. A przed domem stoi człowiek, od śniegu aż bladszy i skulony, z mrozu drżący, na te cuda patrzy.

Więc Hop z Bobem bez namysłu do kawiarni wbiegli i wołają: „Hej, bogacze, dajcie coś tym biednym, tylko zaraz!”

Ale (zamiast coś otrzymać w darze) wyrzucili ich kelnerzy oraz gospodarze.



Więc stanęli na ulicy Bob i Hop przy sobie: „Co ja zrobię?” Bob pomyślał. Hop też: „co ja zrobię?” I wy, dzieci, też pomyślcie, kogo trzeba złączyć, żeby zniszczyć ludzką chciwość i z niedolą skończyć.

„Kinderland“ Przer. Eski.

W piecu się pali

(ciąg dalszy)

Po długich, długich latach zjawił się pod ziemią człowiek, śniatek, który odkrył te bezcenne skarby: to był górnik! — Słyszałem coś o tych górnikach — mruknął kot do świerszcza — ale nie bardzo pamiętam...

Węgiel prawil tymczasem zapalając się coraz bardziej:

— Nie łatwa to praca w kopalni. Ale człowiek jest dzielny, mądry i wytrwały. Dlatego zawsze zwycięża. Dlatego i ja, węgiel, służę mu jak umiem. Oto i teraz spalając się na rozkaz człowieka napełniał ciepłem jego mieszkanie.

Poruszył się kot:

— A jednak, chociaż z tego, że się węgiel z drzewem spalacie w piecu jest dla

ludzi, no i dla mnie, kota, wielka wygoda, mnie was szkoda. Giniecie bez śladu..

— Gadu, gadu! Jakto giniemy bez śladu? My tylko nową przybieramy postać. Ja na przykład zmieniam się w gaz, który wydostaje się z pieca i leci w świat na pożytek roślinom, co nim oddychają. Ale o tem nie mogę ci mówić, bo byś nie zrozumiał. To nie kocia głowa na takie rzeczy. — Powiedział węgiel. — Kot się chciał obrazić, ale mu szkoda było psuć sobie humoru, więc się nie obraził. A świerszczyk rad, że się obeszło bez kocich fochów, chwycił za skrzypeczki i krzyknął:

— Niech żyje czarny, poczciwy, ciepło dający węgiel! Niech żyją drzewka na rozpałkę!

— Niech żyją! — mruknął kot.

I zaśpiewał do wtóry świerszczakowi po swojemu, po kociemu:

niech mróz mrozi
niech wiatr wieje
nam się tutaj
dobrze dzieje,
gdy w piecu pali się!
gdy w piecu pali się!

A ktoby się
to spodziewał:
trochę węgla,
trochę drzewa

i ciepło stało się!
i ciepło stało się!

Nic nam więcej
nie trza wcale,
gdy się w piecu
ślicznie pali.

wszyscy grzejemy się!
wszyscy grzejemy się!
niech mróz mrozi,
niech wiatr wieje,
nam się tutaj
dobrze dzieje

bo w piecu pali się!
Hej w piecu pali się!

Tak śpiewał kot ze świerszczem, obaj przyjaciele i sąsiedzi piecowi.

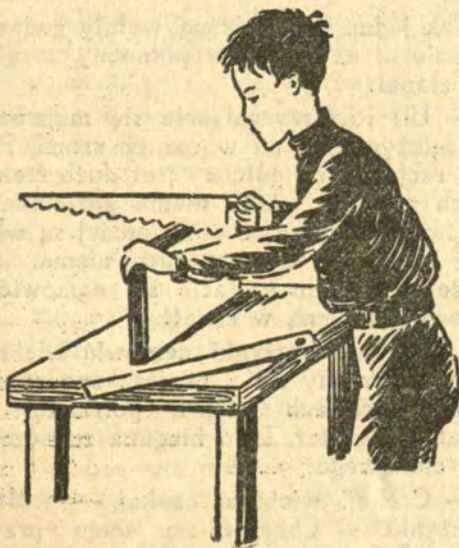
Z palącego się pieca buchało na pokój miłe, zdrowe ciepło. Weszła Kazia, żeby zakręcić drzwiczki pieca. Zobaczyła czy węgiel dobrze się przepalił i dopiero wtedy je zamknęła szczelnie, gdyż Kazia wie, że z pieca zawcześnie zamkniętego wydobywa się czad, szkodliwy i trujący, który ludzi może przyprawić o śmierć.

Teraz wszystko jest w porządku. Piec gorący, pokój ogrzany, bury kotek i świerszczyk zadowoleni.

Ociec z fabryki, mama z biura i dzieci ze szkoły mogą przyjść ogrzać się i wypocząć.

Oto ile ciekawych rzeczy dzieje się wtedy, gdy się pali w piecu.

Zygmus Stolarczyk



W warsztacie u tatusia
wre praca, że aż hej!
Popatrzcie na Zygmusia,
jak sam rozrabia klej!

Popatrzcie, jak hebluje,
aż wióry lecą wkrąg.
Ochoty nie żałuje
i nie żałuje rąk.

Miła mu jest pracy chwilka,
ociaż taki mały.
Będzie z niego za lat kilka
stolarz doskonały!

Przewidziana podróż gwiazdki śniegu

Urodziła się gwiazdka śniegu w samym środku wspaniałego państwa Zimy, na dalekiej północy.

Była ta gwiazdka śniegu lekka, lśniąca i srebrzysta, jak tysiące i miliony jej siostr. Nie знаła ona jeszcze nic innego prócz tego milczącego, mroźnego kraju.

Ale oto raz zerwała się straszliwa burza. Do spokojnie leżących gwiazdek śniegu przypadł wichur północny, olbrzym i siłacz straszliwy.

Łomotał skrzydłami, gwizdał, huczał i śpiewał na całe gardło, porywając ze sobą śnieżynki do szalonego tańca:

— Hu, hu, ha!

Jestem wichur, co gna!
Nad śnieżnemi postaciami
szumię swemi skrzydliskami
mrozącemi,
lodowemi.

Szu — szu — szu!

Hu, hu, hu!

Hu, hu, ha!

Jestem wichur, co gna!
nie ustając w szybkim biegu,
porwę z sobą tuman śniegu
srebrzystego,
puszystego.

Szu — szu — szu!

Hu, hu, hu!

Daremnie prosiły przerażone, zmęczone szalonym tańcem gwiazdki śniegowe:

— Zlituj się, wichurze, nie szalej!

Zostaw nas i lećże dalej.

Lećże sobie w świat,

Skoroś latać rad.

Bo gwiazdeczki my śniegowe,

srebrzyste, lśniące, puchowe,

wolimy tu spać,

niż w świat z tobą gnać!

Nam tu dobrze u matusi

i nikt w podróż nas nie zmusi,

nawet wietrze ty,

gwałtowniku zły!

A na to wichur:

— Hu, hu! O cóżeście się, panny śniegowe na mnie rozgniewały? Żle wam, żeście się wytańcowały? Nie chcecie lecieć ze mną w świat, to nie lećcie. Chcecie siedzieć na końcu świata, to sobie siedźcie, ale...

— Ale? Co?

— Hu, hu! Ale będziecie żałowały swego uporu. Bo na świecie jest dużo, dużo ciekawych rzeczy do zobaczenia. Tak.

— Czego mamy żałować? Czy tu u nas w zimowym państwie nie pięknie? Spójrzyc tylko wichurze po tych polach śniegowych, jak palą się w słońcu brylantowym blaskiem. Spójrzyc na olbrzymie łańcuchy gór lodowych, które błyszczą wspanialej, niż Szklana Góra z bajki. A nasz ocean lodowaty, na którego zimnych falach kołyszą się olbrzymie kry, jak srebrne skały? A nasza cudna zorza polarna? Albo zabawne chaty eskimosów, pełne zapachu tłuszczu wielorybiego, ryb wędzonych, skór, futer, niedźwiedziego mięsa... Pełne gwaru i śmiechu skośnookich, tłuszczutkich człowieczków i wielkich psów kudłatych... Widziałeś takie chaty gdzieindziej na świecie? Mów!

Nie widziałeś.

I nie widziałeś też nigdzie białych niedźwiedzi, które pływają i nurkują, jak ryby... Nie widziałeś gładkiem futrem obrosłych łagodnych fok, które całymi stadami wylegają się na brzegu morskim! Aha!

Tak jedna przed drugą wołały gwiazdki śniegu, aż się wiatr północny za głowę złapał:

— Uf! Rozkrzyczałyście się moje panny śnieżynki, aż mi w uszach szumi. Racja, racja! tu na północy jest dużo ciekawych rzeczy, jakich niema gdzieindziej na świecie, ale za to gdzieindziej są właśnie te rzeczy, których tutaj niema. O! może więc jednak dacie się namówić i polecicie ze mną w świat!

I dały się śnieżynki namówić wicherowi i poderwały się z miejsca spoczynku i na skrzydłach wichru pofrunęły w świat. Zaraz też, koło bieguna zobaczyły coś ciekawego:

— Czekaj, wichurze, czekaj — wołają śnieżynki. — Chcemy się temu przyjrzeć. Co to za dziwna chata, do chat eskimoskich nie podobna wcale, z cho-

ragiewką jakąś na dachu. Czy ty wiesz, co to jest, wicherze?

— Wiem. Ta chorągiew, to sztandar zatknięty u bieguna na znak zwycięstwa człowieka nad groźną przyrodą. A ta drewniana chatka, to schronisko dzielnych badaczy i podróżników, którzy z dalekich krajów przybyli okrętami i samolotami do tej lodowej pustyni, nie zważając na trudy, głód, mrozy i na śmierć grożącą im o każdej chwili.

— A cóż tu oni robią? — zdziwiły się śnieżki.

— Ludzie ci z narażeniem życia pracują dla nauki. Zapamiętajcie sobie, że są oni prawdziwymi bohaterami.

Śnieżynki bardzo były ciekawe, jak wyglądają podróżnicy. Zajrzały więc do wąziutkiego okienka schroniska i zobaczyły gromadkę mężczyzn o dzielnych, śmiałych twarzach.

— Patrz, patrz, — wołały do siebie śnieżynki. — Co oni robią? Wszyscy są czemś zajęci: ten jeden pochylał się nad wielką księgą, ten drugi pisze w grubym zeszytce... Trzeci majstruje coś dziwnymi przyrządami... czwarty gotuje na maszynie kawę dla wszystkich, a ten piąty... Ha, ha, ha! ten piąty szyje spodnie, butki i kubraczek futrzany dla białego, szczekającego pieska, zupełnie nie podobnego do kudłatych, wielkich psów eskimoskich, które się mrozu nie boją. Ha, ha, ha!

I byłyby gwiazdki patrzyły jeszcze dłużej, ale wicher pognął je dalej.

Przeleciały nad wzburzonymi wodami oceanu i gwiazdki śniegowe zobaczyły w dole dziwny kraj. Także śniegiem pokryta była tu ziemia, ale z pod śniegu przebijał mech, a nawet i trawa. Zaczerniły się drzewa, a pod osłoną tych drzew widać było pasące się zwierzęta o gałęzistych rogach.

Wicher powiedział, że to jest Laponia ten kraj, a te zwierzęta to renifery, które Laponcykom tak, jak i eskimosom, dają mleko i mięso na pożywienie, a skórę na odzież.

Wicher też pokazał śnieżynom wielką rzekę, na brzegu której stały namioty ze skór i chaty zbudowane z kamieni i trawy. Wśród nich trzy czerwone budynki stanowiły szkołę. Tu lapońskie dzieci w ubrankach ze skór uczą się pi-

sać, czytać i robić różne przedmioty potrzebne w życiu koczowniczym,

— ...bo trzeba wam wiedzieć, że Laponcy są koczownikami, to znaczy, że przenoszą się z miejsca na miejsce ze stadami swoich reniferów, które szukają coraz to świeżych pastwisk — powiedział wszystkowiedzący wiatr północny.

Długo, długo potem leciały jeszcze gwiazdki śniegowe. A coraz to któraś zostawała w drodze. Jedna zatrzymała się w Szwecji. Zachwyciły się góry wielkie, skaliste, porośnięte mchem i karłowatymi drzewami. Tam spadła.

Drugą znęciły jodłowe lasy i łąki Norwegii. Trzecią jeziora pełne wysepek zarosłych trzcina, a rojących się od dzikich gęsi, kaczek i łabędzi.

Wreszcie i reszta gwiazdek śniegowych poczuła się znużona.

Przelatywały właśnie nad wielkim fabrycznym miastem. Światła ognisk fabrycznych błyszcząły w dole, jak czerwona łuna. Przypomniały śnieżynom ich daleką zorzę polarną.

— Ja tu zostanę — szepnęło wiele z nich i spadły na dachy fabryczne białym tumanem.

Reszta z wichrem poleciała dalej. Tak doleciały do morza i przeleciały nad niem. Ale to nie był ich znajomy ocean Lodowaty. To było morze Bałtyckie. W porcie przy brzegu stało mnóstwo okrętów, chwiało się las masztów na żaglowcach, dymiły kominy parowców.

Dziesiątki i setki robotników portowych ładowało towary na statki.

Wicher powiedział śnieżynom, że to jest port — Gdynia. I chciał je zanieść do stolicy tego kraju, do Warszawy, Ale się rozmyślił, bo przypomniał sobie, że właśnie potrzebny jest świeży śnieg w górach Karpatach na zawody narciarskie.

Gwiazdki śniegowe pierwszy raz znalazły się w Krynicy nad skocznia, co było dla nich coś bardzo zabawnego.

— Patrz, patrz! czy widzisz? — wołały jedna do drugiej. — Ci ludzie z nartami u nóg odbijają się od ziemi i lecą w powietrzu, jak ptaki.

— Nigdy tego jeszcze nie widziałam — wykrzyknęła jedna z gwiazdek i poprosiła wicher, żeby ją zbliżył do skoczni.

Ale wicher widocznie nie umiał utrącić, bo upuścił ją dalej, na puste wzgórze nad drogą.

— A ja jaj! — zaczęła lamentować gwiazdka śniegu. — Wichrze, podnieś mnie, wróć się!

Ale wichur już był daleko. Zawołał tylko:

— Nic się nie martw, śnieżynko. Leż sobie wygodnie na gałązce jodłowej, na którą spadłaś, a będą drogą wracali z zawodów narciarskich zawodnicy, to ich zbliśka zobaczysz. Przecież tego chciałaś.

I rzeczywiście niedługo czekała gwiazdka śniegu na jodłowej gałązce. Narciarze wracali, przechodząc tuż-tuż drogą. Weseli byli, śpiewali:

— Niech się zmarzłak, jak chce złości: w zimie mnóstwo przyjemności jest.

Są saneczki, jest ślizgawka, ulubiona to zabawka wszak.

I są narty, me kochanie, toć oddałyś wszystko za nie.

Tak.

I jest hockey, powiedz, przecie, cóż lepszego masz na świecie?

Nic.

A więc niechaj żyje zima! niech śnieg padał mróz niech trzyma.

Sto dni!

Sto dni!

Bo tak chcemy my!

— — — — —
Wesoło tu było naszej gwiazdce śniegowej. To też już nie myślała o nowej podróży.

Ale... ale mimo gorących życzeń wszystkich narciarzy, saneczkarzy, hokeistów i łyżwiarzy musiała się przecie zima kiedyś skończyć.

I oto... pewnego pięknego poranku przyszła odwilż.

Naszej gwiazdce śniegu zaczęło się robić ciepło, ciepło, coraz cieplej.. Robiła się coraz mniejsza, coraz przezroczystsza, aż.., aż zmieniła się w kroplę rosy.

— Nie martw się — pocieszyła ją jodełka — nie zginiesz. Upadniesz z gałązki jodłowej i wsiąkniesz w ziemię, a tam obudzisz niebieskiego krokusa, który na to tylko czeka. Krokus, zbudzony przez ciebie wyjdzie z ziemi i to będzie wiosna.

Czyż nie pięknie zakończy się twoja podróż, gwiazdka śniegu?

Tak powiedziała jodełka i miała rację.

Mała praczka



Nie żałuję ręki,
chcę być dla was wzorem,
już drugą sukienkę
sama sobie piorę.

A jak ją upiorę —
wyprasować muszę,
a jutro wieczorem
upiorę fartuszek.

Upiorę, wycisnę,
na strychu powieszę,
I pilnością swoją
mamusię ucieszę.

Tosia na targu

Ta mała Tosia
to cała gosposia.
Już umie jak mama
Chodzić na targ sama.

Kupiła tam kwiaty
na bukiet dla taty,
owoce, jarzyny,
sok do legominy.